Tom III. Nr. 4.

1. Sierpnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KAZIMIERZ WIELKI

król chłopków.

II. Jaki był sprawiedliwy.

Tuż pod samym Krakowem leży wieś Łobzów. Piękna-to wieś! ziemia czarna i taka sprawna, że omal nie powiem, pieprz by się na niej urodził. Łobzowianie lud piękny i serdeczny, a też zaradny i nie leniwy; na swojej czarnej ziemi z dawien dawna uprawia włoszczyznę i rozmaite jarzyny, co je sprzedaje w Krakowie na Szczepańskim placu. To też w Łobzowie nie pytaj o biedę, bo tam jej nie znają; a kmiecia z Łobzowa poznasz choćby o sto kroków, taki sobie pan całą gębą, i Łobzowianki też postrojone jak panie.

Otóż nasz Kazimierz był sobie bardzo oną wieś upodobał, postawił tam pałac i rad w nim przesiadywał.

Jakoś w tym czasie przybyła z czeskiego kraju do Polski jedna pani cudnej urody, a zwała się Rokiczana. Zobaczył ją król i bardzo się w niej rozmiłował. A było mu to wolno, jako że już był natenczas wdowcem. — Już tedy myśli o drugiem

ożenieniu, niby z oną czeszką — i osadził ją w swoim królewskim pałacu na Łobzowie. Pysznie sobie mieszkała ta pani, a znając słabość króla do siebie, rozkazywała wszystkim, jakby już prawdziwa królowa.

I było tak, że przed samym pałacem stała sobie jedna kmiecia zagroda i swoją strzechą słomianą zasłaniała widok z pałacu na Kraków. Ileż razy wejrzy oknem Rokiczana i spojrzy na tę chłopską zagrodę, zaraz-ci ją gniew napada. I myśli sobie: po jakiego licha nie kazał król jeszcze dotąd rozwalić tej budy, co mi przez nią nie wolno patrzyć na Kraków! Jabym to już dawno uczyniła.

Tak-ci raz rzeknie do króla: — Panie miłościwy! zrób mi tę łaskę i nakaż choćby dziś rozwalić oną chałupę, bo tak nie pięknie, aby stała przed samemi oknami twego pałacu.

A król jej na to: — Nie uczynię tego za nic w świecie, bo-by to było niesprawiedliwie i z krzywdą bliźniego.

— Zapłać mu, królu, ile będzie sam chciał, a rozwal koniecznie; ja cię o to bardzo proszę!

— Zapłacić nie wielka rzecz — powiada król — ale jak nie zechce sprzedać za żadne pieniądze?

— Co to znaczy, nie zechce! zawoła czeszka dumnie — kiedy król każe, to musi.

— A nie musi! krzyknie Kazimierz, bo go już rozgniewało. — Moja ty pani czeszko! ja nie taki król, co-by do tego rozkazywał, do czego nie ma prawa. Każdy jest sobie pan na swojej ojcowiznie, a król nie ma prawa wyrzucać go z jego własności. Chce z dobrej woli? to owszem, a nie, to przepadło. Ja go pewnie nie ruszę, boć to jego a nie moje, ani też twoje, moja pani!... To rzekłszy król, zatrzasnął drzwiami i wyszedł, a nawet się nie pożegnał ze swoją miłą panią, co się jej jeszcze nigdy nie przytrafiło.

Inna na jej miejscu byłaby sobie ów sprawiedliwy gniew królewski wzięła do serca i już więcej o tem nie myślała. Ale Rokiczana nie dobra była pani, a uparta i mściwa, że to ha! jak się raz na co uwzięła, to już przepadło! — póty chodziła a chodziła, póki na swojem nie postawiła. — Tak-ci i tą razą myśli, że bądź jak bądź swego dokaże. Czekała jeno dobrej

pory, aż król nie wyjedzie z Łobzowa. I nie potrzebowała długo czekać. Jakoś tego samego dnia jeszcze wypadło królowi jechać gdzieś daleko za Kraków. Zaledwo się wydalił, Rokiczana posyła do onego kmiecia, co siedział naprzeciw pałacu i każe go przywołać do siebie. Chłop ten nazywał się Zbroja. Stary to był żołnierz, bo jeszcze za nieboszczyka króla ojca bił się przeciwko Krzyżakom i miał też nie jedną ranę na ciele z onej wojny. Dziś na swoje stare lata osiadł na ojcowskim gruncie przy dzieciach i pracował o ile sił starczyło, aby — jak powiadał — do samej śmierci nie jeść chleba za darmo.

— Co też ta pani chce odemnie? tak sobie mysli Zbroja, kiedy go dzisiaj powołali do pałacu, bo już wiedział, że króla nie ma doma. Zabrał się i poszedł. Rokiczana przyjęła go na razie bardzo grzecznie:

— Co tam słychać u was, gospodarzu? powiada — a zdrowiście? i wszyscy wasi, czy zdrowi?...

— Bogu dziękować! odpowie stary żołnierz.

— Słuchajcie-no panie Zbroja! zagada już żywo Rokiczana — sprzedajcie mi waszą chałupę i grunt.

Chłopisko aże się cofnął z przerażenia.

— Wielmożna pani chyba żartuje! powiada — bo gdzieżby znowu....

— Ale nie żartuję, nie! na prawdę chciałabym się z wami zgodzić — zawoła czeszka, a już jej widać było po twarzy, żeć się gniewać poczyna.

— Jeżeli tak, odpowie Zbroja, to widzę próżna była moja fatyga, bo tu nie będzie zgody między nami. Kłaniam się Wielmożnej pani.

I już chce odchodzić. Rokiczana poczerwieniała jak ogień na twarzy, taki ją w sobie gniew palił. Ale jeszcze — choć z wielką biedą — nie wybuchła.

— Gospodarzu! zawoła.

— Co Wielmożna pani rozkaże?

— Czy to jest wasze ostatnie słowo? ja wam dobrze zapłacę, mój Zbroja, dwa razy tyle, ile to warto.

— Nie ma co gadać, Wielmożna pani! bo ja nie sprzedam

za nie w świecie mojej ojcowizny, chociaż-by tego sam król nasz miłościwy, odemnie żądał.

Już też dłużej nie mogła się powstrzymać złośnica i wybuchła okrutnym gniewem:

— Chłopie! to ty myślisz, że ja cię długo będę prosić? hej, służba moja! a duchem spalić mi tę budę i grunt po niej zaorać, żeby i znać nie było, gdzie stała.

Napróżno ją stary Zbroja zaklina: — Wielmożna pani, toć się nie godzi! uważ sobie, co król nasz miłościwy powie.

Rokiczana ani chce słuchać, tak się zaciekła w gniewie; starego kazała wyrzucić za drzwi, i chałupę oną spalić i grunt zaorać. A że miała dużo takich podchlebników, co ją we wszystkiem słuchali, wnet się też stało tak, jak rozkazała.

W kilka dni potem powrócił król do Łobzowa. Stanął przed pałacem i zaraz-ci wpadło mu w oko miejsce próżne, kędy stała chałupa Zbroi. Krzyknie tedy na służbę dworską: — Co się tu podziało!

Na głos królewski wybiegła sama Rokiczana dziwnie piękna i mile uśmiechnięta. Myśli sobie, że jak ją tylko król obaczy, tak bardzo ją miłujący, wnet się udobrucha. Aleć tym razem bardzo się czeszka pomyliła. Król wcale się nie udobruchał na jej widok, nawet się nie przywitał, bo już się był prawie domyślił, czyja-to sprawka.

Zapyta groźnie: — Rokiczano! tyś to zrobiła?

Oj źle! myśli sobie podstępna niewiasta i jęła się nowej sztuczki: poczęła niby okrutie płakać, chcąc tem serce królewskie zmiękczyć i obrócić ku sobie. — Aliści w tej samej chwili ode wsi pokazał się sołtys łobzowski, sędziwy Brózda na czele gromady, a wedle niego szedł stary Zbroja o kiju i z torbą przez plecy, niby dziad, i żona jego nieboga płacząca, i cała jego rodzina. — Kazimierz tedy ani uważał na nieszczery płacz pięknej Rokiczany, jeno się cały zapatrzył w oną stronę, zkąd stary sołtys prowadził gromadę ku niemu.

Zajrzawszy króla przed pałacem, Brózda odkrył siwą głowę i pokłonił się, a za nim cała gromada, — zaś rodzina Zbroi zamiast pokłonu, w okrutny płacz wybuchła. Król spojrzał surowo na Rokiczanę. Tać miarkując na co się zanosi, chciała

umknąć do pałacu. Ale ją przytrzymał za rękę Kazimierz i rozkazał: — Stać! — Czeszka zbladła jak chusta ze strachu.

Nareszcie jął sołtys wywodzić skargę przed królem: — Najmiłościwszy panie a nasz ojcze sprawiedliwy! otóć się stała rzecz niesłychana w naszym Łobzowie: nie mamy, dziękować Bogu, żadnej wojny i o nieprzyjacielu nie słychać, a taki człek nie może się osiedzieć we własnym domu spokojnie. Doświadczył tego niedawno oto nasz gospodarz stary Zbroja ze swoją rodziną. Ni ztąd ni z owąd, w jasny dzień, napadnięto ojcowiznę jego, wyrzucono go z domu wraz z całą rodziną, i wszystko mu spalono, i zaorano grunt na tem miejscu, jako sam widzisz, miłościwy królu.

Zawoła Kazimierz: — A widzę, mój sołtysie, widzę! i dałbym nie wiedzieć co za to, żeby się to było nie stało, i jeszcze komu? mojemu kochanemu Zbroi, co swoją krew za ojczyznę przelewał!...

Słysząc to Zbroja, rzucił się jak długi do nóg królewskich, a taki był rozżalony, żeć ani słowa przemówić nie mógł. Podźwignął go król ze ziemi i postawił oko w oko przed Rokiczaną, mówiąc:

— Patrzaj! i miałażeś ty serce temu oto starcowi takową krzywdę wyrządzić? Teraz dopiero poznaję, kto jesteś, i wstydzę się, iżem cię dotąd za dobrą miał i za godziwą mojego serca uznawał... taką poczwarę!

A potem król sprawę rozsądził: — Za moje własne pieniądze wybuduje się na tem samem miejscu domostwo dla Zbroi, a we wszystkiem takie, jak było. Tu zaś przy drodze nakazuję postawić krzyż. Będzie pod nim klęczała Rokiczana, i przez ten cały czas, póki nie wybudują majstrowie mieszkanie dla Zbroi, niech się modli i pokutuje ta grzeszna dusza, i dobrych ludzi niechaj prosi o zmiłowanie, coby ją jakim grajcarkiem opatrzyli. Z tych grajcarków, jaka się zbierze suma, wszystka ma być oddaną Zbroi i jego rodzinie za to zmartwienie, którego z jej przyczyny doznali. Gdy tak odpokutuje grzech swój na miejscu, dopiero wtedy zabierze się pani czeszka, i fora z dwora! żeby mi się na oczy nie pokazywać. Onych zaś, którzy usłuchali

tak niegodziwego rozkazu tej pani, oddaję pod sąd gromadzki: niechże ich sama gromada, jak myśli ukarze.

Taki był wyrok królewski. — I otóż poczciwym ludziskom żal się teraz zrobiło tej Rokiczany. Więc Zbroja i jego rodzina upadli królowi do nóg i bardzo prosili, aby jej przebaczył. Zrazu był się król okrutnie zaciął: — Nie i nie! — Ale jak go stary Zbroja zaczął po nogach całować, a kobiety znowu płakać, a sołtys i cała gromada prosić — tak nareszcie zmiękł i podarował onej pani pokutę pod krzyżem. Ale kazał jej się zaraz wynosić z Łobzowa; tak mu, widzicie, obmierzła ona, jeszcze niedawno kochanka jego, a jeno przez to że był taki król sprawiedliwy.

KRAKOWIAK.

Wesoły, szczęśliwy, Krakowiaczek-ci ja,
A mój konik siwy raźno się uwija:
Uwijaj się, raźno bież,
Kopytami ognia krzesz!

Czapeczka czerwona na głowie mi płonie,
Pokazuje ona, że mi gore w łonie; —
Gore serce, pędzi koń,
A dziewczyna klaska w dłoń!

Z czapki pawie pióro barwami się mieni,
Jak dzionek za chmurą, gdy ją świt zrumieni; —
Dumnie błyszczy pawi puch,
A ja dumny — i ja zuch.

Krakowiaczek-ci ja, pędzę sobie żwawo,
Kto mnie nie wymija, plunę w twarz kurzawą —
Bo ja pan, bo ja król,
Wśród zielonych niw i pól!

W koło szumi zboże, kłania mi się kłosem,
Kiedy zbiorę, zorzę — to pobrzęknę trzosem
A dziewczęta z całej wsi,
Będą się przymilać mi!

I ta, i ta ładna — lecz próżne ich chęci,
O! bo mnie już żadna nie zwabi, nie znęci!
Jedno tylko serce mam,
Jedną tylko Halkę znam.

E. W.

Grosz wdowi.

Kościółek we wsi Zborzewie zapadł się prawie całkiem i potrzeba było wielkiej reparacyi, prawie jakby odbudowania go na nowo. Proboszcz chodził w koło z brewiarzem w ręku patrzał się na zawalony przybytek Boży, i aż mu łzy w oczach stawały. Dziedzic wioski, pan Dobrzewski, mały miał majątek, dzieci dużo — a wszelako mu koniecznie na sercu ciążyło, by co rychlej poratować dom Boży. Naradzał się też z proboszczem, a potem do księdza dziekana pojechał.

Gospodarze w Zborzewie mieli się dobrze, ale odkąd kościół zapadł się w gruzy, to i chodzili sobie na nabożeństwo do sąsiedniej parafii — do Zbylina.

Dnia jednego zjechał ksiądz dziekan na plebanią, a potem zaraz obadwaj księża do dworu poszli.

Bartłomiej Garnuszek, najbogatszy gospodarz we wsi całej, stanął na progu domostwa swojego, i założywszy ręce na krzyż, patrzał się, jak księża właśnie w dworską wchodzili bramę.

— A czegóż tak wyglądacie? zapytał go stary Mateusz Sroka, idący z kosą na ramieniu od łączki swojej — czy południa? Bo od kiedy nam już, mój Jezu kochany, nie dzwonią na kościółku, to człek jeno podług słońca miarkować się musi.

— A to widzę przyjechał ksiądz dziekan do naszego proboszcza i poszli razem do dworu — odrzekł Garnuszek, skrobiąc się po głowie — i medetuję sobie, że pewnie będą chcieli abyśmy pieniędzy na odbubowanie kościoła dali.

— Ha, no! to i cóż poradzi wyglądać? odrzekł Sroka — trudna rada! Już-ci potrzeba ratować dom Boży, chociaż-to człeka i nie stać.

— Abo my to nie możemy na mszą świętą do Zbylina chodzić? odrzekł Bartłomiej. — Czyliż nam żal nóg, abo co? Nie ma na reparacją, no, to i nie ma. Pan Bóg nie wymaga od człeka nad siły i zasób.

— Żartujcie sobie zdrowi, kumie Bartłomieju — wymówił na to Sroka i uśmiechnął się jakoś — wiadomo przecie wszystkim, że jesteście w stanie i pareset złotych wyłożyć, jakbyście jeno chcieli, a nie zrobicie sobie krzywdy.

— Abo to prawda! zasierdził się Garnuszek — ludzkie-to jeno obmówisko: człek mozoli się dzień po dniu, byle bieda nie zajrzała, to i wszystko. A powiadam, że to jeszcze na lepszą Panu Bogu posłuży ofiarę, jak będziema na mszą świętą do Zbylina chodzili.

Stary Sroka coś tam głową pokręcił i westchnął.

Powychodzili gospodarze i z drugich domostw, skupili się przy Bartkowej studni, i nuż tam sejmikować sobie — a najwięcej Garnuszek rozprawiał. Powoli to i wszyscy przytakiwać zaczęli — a w końcu zgodzili się na jedno.

Powyłaziły i kobiety z chałup, i jaka taka nuż wypytywać męża lub syna o tę oną naradę przy studni: jedna od razu przywtórzyła, druga jakoś pokręciła głową, trzecia westchnęła i zamyśliła się — a prędko rozeszła się po wsi wiadomość, że gospodarze wręcz odmówią, jako na odbudowanie kościoła kosztów łożyć nie będą. W tem nadbiegł ode dworu karbowy z rozkazem, by wszyscy przed księdzem dziekanem stanęli.

Spojrzeli po sobie, pokiwali głowami i poszli do dworu.

W pierwszym pokoju siedzieli księża i dziedzic, i zaraz też do niego gospodarzy wpuszczono.

W drugim pokoju widać było panią Dobrzewską z czterema córeczkami, niby z kurczątkami kokoszka. Matka szyła tam jakąś bieliznę a panienki pończoszki robiły.

Gdy weszli gospodarze, wystawił im ksiądz proboszcz od razu: jak to smutno jest we wsi, gdy w kościele zrujnowanym nie może być nabożeństwa; że tęsknota dziwna ogarnia serce, zwłaszcza też w niedzielę i dni świąteczne, i jako teraz nawet i miłego nie posłyszą dzwonienia, które ich do modlitwy wzywało, a w południe i pod wieczór wypoczynek wskazywało po pracy.

Potem przemówił ksiądz dziekan, aby z dobrowolnych składek odbudowali dom Boży, za co we własnej duszy wielkiej doznają pociechy, a i Pan Bóg mile przyjmie taką ofiarę. Gospodarze poczęli kręcić głowami i pomrukiwać, że ich nie stać na taki wydatek.

— Wiadomo wam dobrze, moi kochani, ozwał się teraz dziedzic — że i u mnie *chuda fara*, bo nieraz grosz grosza nie dogoni, a dziatek kupa, z których trzy chłopczęta są w szkołach, co nie mało kosztuje. Ale wszelako uczynię, co mogę i dam drzewo z mojego borku, ile tam będzie potrzeba. Przywiozę i swoim kosztem budowniczego, i rysunek, jaki nam zrobi, zapłacę.

Chłopi ciągle głowami kręcili, przedeptywali z nogi na nogę, a najbardziej Bartłomiej Garnuszek — i zerkał to na jednego, to na drugiego, niby przestrzegając, ażeby od swojego nie odstępowali.

W tem nadeszła z drugiego pokoju dziedziczka, a była ona córką nieboszczyka dziedzica i rodziczką ze Zborzewa.

Gospodarze się skłonili i pochwalili Pana Boga.

— Na wieki! odrzekła pani. — Dzień dobry wam, moi kochani. Otóż i ja, za przykładem mojego męża, składam uzbierane sobie dwieście złotych za masło i jajka, na odbudowanie kościoła, bez którego nam smutno i tęskno. Boć przy tym kościółku leżą pochowani najdrożsi rodzice nasi, tutaj nasze odbyły się śluby, i tutaj dziateczki kochane odebrały chrzest święty. Przy dobrej chęci i modlitwie, to i Bóg nam dopomoże!

Bartłomiej Garnuszek znowu zerknął na lewo i na prawo. Stary Sroka spuścił oczy ku ziemi, jak gdyby się wstydził. Coś tam pomiędzy sobą niby poszeptali, a potem Bartłomiej skłoniwszy się, wyrzekł:

— Z przeproszeniem wielmożnych dziedziców, wielmożnego księdza dziekana i naszego dobrodzieja, ale takeśmy już ułożyli sobie: że, jako nas nie stać na odbudowanie kościoła, to i nic nie możemy dać na tę ofiarę.

Dziedzic, i księża, i pani Dobrzewska, wszyscy jeszcze poczęli przemawiać, ale napróżno.

W tem zwolna drzwi otworzono i weszła do pokoju stara Zagraina, wdowa, wyrobnica uboga.

— Niech będzie pochwalony! i pokłoniła się wszystkim.

— Czy do mnie jaki macie interes? zapytała pani Dobrzewska.

— Nie, wielmożna, kochana pani — odrzekła Zagraina — jeno przysłyszałem, że wielmożny ksiądz dziekan po to przyjechał, abyśmy znowu, mój Jezu słodki, mieli święty kościółek. A każdegoć-to pewnie korci, aby z ofiarą swoją nie był ostatni. To też, z przeproszeniem wielmożnego państwa, przyleciałem co tchu, bom sprzedała prosię młynarzowi, dostałam za nie pietnaście złotych, za co Panu Bogu dziękuję i Matce Najświętszej, i te pieniążki z serdecznością na kościółek oddaję.

— Poczciwa kobieta! zawołali razem państwo Dobrzewscy i księża obadwaj.

Kobiecina pieniążki swoje wyłożyła na stół — a liche na niej były szmaty, chociaż chędogie.

Bartłomiej Garnuszek oczy ku ziemi spuścił, niby człek niedobrego sumienia, i aż go tam coś jakby dusiło w gardzieli. Sroka coś tam drugim poszeptywać zaczął, rękę raz po raz uniósł, a w oczach mu świeczki stanęły. Szeptali, szeptali, i potrącali się jakoś łokciami. Zaczął i Garnuszek coś tam pomrukiwać, a potem skłonił się i wyrzekł:

— Kiedyć już tak padło, że ot wyrobnica uboga pierwsza z nas ofiarę na dom Boży przyniosła, to i my nie chcemy być podlejszymi. A chociaż człeku ciężko przyjdzie i krwawo, to niechta już wielmożni państwo odemnie sto złotych zapiszą.

I każdy z gospodarzy za tym przykładem pospieszył, jeden ofiarował mniej, drugi więcej, jak tam stało którego.

Znać też i Panu Bogu miłą ta ofiara była, bo niezadługo stanął kościół odbudowany, i taki ładny, że aż miło było spojrzeć. Nabożeństwo odbyło się uroczyste, sam biskup zjechał i księży kilkunastu. Gospodarzom aż niby serce rosło z radości — a do tego przecie najlepszym stała się przykładem uboga wyrobnica z prosięciem swojem, gdy zawstydziła zamożnych a skąpych.

Był to prawdziwy *grosz wdowi.*

Paulina z L. Wilkońska.

O psie,

jako o wiernym przyjacielu człowieka.

Wy, panowie gospodarze, sami wiecie najlepiej, czem-to jest pies dla człowieka, i że się nie godzi nad nim zbytkować. Ale co dzieci wasze, to nic a nic o tem nie wiedzą; przeto żadnego nie mają poszanowania dla psa i często dla swojej zabawki, rozmaite psikusy mu czynią. Onym się zdaje, że pies podłe stworzenie, więc batem świsnąć, nogą kopnąć wolno, bo to pies. I zbytkują się też, hultaje, oj zbytkują — a tu jeszcze często gęsto własna ich matka broni przed ojcem, coby je za to chciał ukarać.

— Daj mu spokój ojcze! powiada taka matka.

— A czego mi się, niecnota, nad psem wydziwia?! odrzeknie gospodarz.

— O, wielka rzecz! zawoła — wartoć to za psa własne dziecko pokarać?...

— Oj, warto, moja ty matko, i jak warto! bo jak ci się synalek zaprawi na psie, i zdziwiając się nad nim, cieszyć go to będzie — to z czasem serce mu się i do ludzi popsuje, i nie daj-ci Boże tego doczekać! ale powiadam, że taki chłopak później i własnej matce nie podaruje. To raz — a po drugi raz: to chyba ty sama nie wiesz, co jest pies, skoro tak mówisz? — Otóż abyś jedna z drugą wiedziała o tem i już więcej nie broniła dziecka przed ojcem, jakby go chciał poturbować za psa nieboraka, posłuchaj-że sobie, coć dzisiaj opowiem o różnych psach, i co jeszcze nieraz o nich opowiadać będę.

Poczciwe to stworzenie! jak raz nawyknie do człeka, to już nie znajdzie wierniejszego przyjaciela nad niego. Słyszałem ja o tem nie jedną historję, a między innemi taką:

Pewien jegomość miał zwyczaj do późna w nocy czytywać na książce. Jak tylko wieczór się zrobił, zaraz zapalał świecę, kładł się do łóżka, brał jakąś książkę do ręki i czytał. I często mu się zdarzyło, że zasnął a świecy nie zgasił. Niebezpieczna

to rzecz; bo świéca, zwłaszcza łojowa, potrzebuje aby ją ciągle objaśniać. Jakże tedy zaśniesz przypadkiem, a nie zgasisz takiej świecy, gotowiusieńkie nieszczęście! z nieobjaśnionego knota może spaść ogień na książki, papiery, lub na jaką inną rzecz; co leży na podorędziu, a łatwo się zajmuje od płomienia, i jużcić masz pożar w izbie. Nie jeden już tego pożałował — aleć ludzie, jak ludzie! nieraz, chociaż dobrze wiedzą że źle, taki robią swoje, a już po niewczasie żałują. — Owóż i ten jegomość, kto wie, czy-by się był kiedyś nie nabawił kłopotu przez taką nieostrożność! Na szczęście swoje miał on przyjaciela, który czuwał za niego. Tym przyjacielem był jego wierny pies. Sypiał on w tej izbie, co i pan i miał pilne oko na wszystko, co się dzieje. Niechże tedy jegomość zaśnie sobie i świecy nie zgasi, oho, jużci pies to widzi, cichutko wstaje, wspina się na tylnych łapach, a zaś przednią łapą, niby ręką zwolna kłap po świecy, tak, że ją zgasi, i dopiero spokojny już kładzie się i spi. Długo pan tego nie uważał; aż-ci razu jednego wydała się cała rzecz. Pan się trochę był zdrzymnął, a psu się zdało, że zasnął na piękne. Wstaje tedy i po swojemu wziął gasić świécę. W tej samej chwili jegomość się ocknął i wszystko widział. I dopiero się zdziwił, i nazajutrz wszystkim opowiedział, jakiego przyjaciela wiernego poznał w psie swoim. —

Taka to jedna historja — a powiem wam i drugą: — W jednem wielkiem mieście żył chłopczyk ubogi. Biedna sierotka, nie miał ani ojca, ani matki, i z tego się jeno żywił, co panom bóty czyścił na ulicy, jeśli sobie który błotem obwalał. Dzień w dzień przychodził on pod jedną kamienicę, miał stołeczek, szwarc i szczotki do czyszczenia, i raz po raz wołał: „Panowie, bóty czyścić!“ — A miał też przy sobie psa, białego kudłatego pudla. Jedyny to był jego przyjaciel i opiekun, co mu został po rodzicach. Słuchajcież teraz, co ten pudel jego nie robił, aby miał sierotka większy zarobek: Wypatrzył-ci on zawsze jakąś kałużę, właził do niej naumyślnie i łapki sobie błotem obabrał, a potem już tylko pozierał, czy jaki pan nie idzie ulicą. Niechże którego zobaczy, zaraz-ci wyskoczył z kałuży, i niby niechcący, pobabrał mu bóty swojemi zabłoconemi

łapkami. Pan się gniewa, pies w nogi, żeby mu się co nie oberwało, a tu chłopiec z pod kamienicy woła: „Panowie, bóty czyścić!“ Jeszcze więc kontent pan, że mu się tak duchem ktoś nadarza, co mu bóty oczyści; a znowu chłopczyk kontent, że z łaski pudla kilka grajcarków więcej zarobił. — Długo o tem nikt nie wiedział, że ten pies taki figlarz i taki dobry dla biednego sieroty. Dopiero po jakimś czasie wydało się i okrutnie to wszystkich zadziwiło. Jeden bardzo bogaty pan zasłyszawszy o tem, zawołał chłopca do siebie i rzeknie: — Odprzedaj mi twego psa.

— Oj nie, panie! odpowie sierota — bo-by mi było bardzo żal.

Na to znowu ów bogacz: — Patrzaj, dam ci tyle pieniędzy za niego! — I wysypał na stół całą garść złota. Złakomiło się chłopczysko i sprzedał psa. A bogacz zabrał go zaraz ze sobą i wyjechał gdzieś daleko do swojej wsi. — Wnet się chłopcu żal zrobiło za psem i chętnie byłby oddał wszystko złoto, co wziął — ale już było po niewczasie. Aż tu patrzaj! Jednego dnia już późnym wieczorem siedzi sobie sierotka w domu, a był bardzo smutny. Naraz słyszy, że jakiś pies prosi do izby. Piorunem skoczył i otworzył drzwi. Kudłaty pudel wpadł do izby, i począł mu się u nóg łasić i rozmaite skoki wyprawiać, niby z wielkiej radości. Chłopiec nie dowierza własnym oczom; zdaje mu się, że to jego pies — i znowu nie wierzy, bo gdzieżby z tak daleka wrócił i sam sobie drogę odszukał!... A w rzeczy samej tak było. Biedne psisko nie mogło w żaden sposób wyżyć bez sierotki i uciekło od bogacza, chociaż mu tam pewnie niczego nie żałowali.

A i cóż, nie piękna to historja?.. ale już najpiękniejsza ta, co wam teraz opowiem.

Niespełna sto lat temu, mieliśmy Polacy wojnę z Moskalami. Na tej wojnie był także jeden szlachcic z Mazurów, niejaki Stanisław Białkowski. A miał-ci on psa przy sobie, dziwne stworzenie. Pies ten na krok go nie odstępował, a taki był do swego pana przywiązany, że to powiadam wam, jakby nie zwierze, ale jaki najszczerszy przyjaciel. To też szlachcic byłby go nie oddał za żadne pieniądze nikomu. Nieraz już trafiał się

kupiec na niego, i obiecywano panu Białkowskiemu wielkie sumy — ale on ani dał sobie rzec o tem: — Choćbyście mi, powiadał, wieś podarowali, to-bym wam mojego kochanego Dunaja — bo tak się ten pies nazywał — nie oddał.

Razu jednego dostał on był rozkaz od starszych, aby pojechał na zwiady, czy się gdzie niedaleko Moskale nie chowają. Zabrał tedy kilkadziesiąt żołnierza ze sobą i ruszył w pole. Nad samym już wieczorem przybył do jednej karczmy, stojącej samotnie w pośrodku lasu. Jedną część żołnierzy wysłał dalej w las, iżby przepatrzyli, czy gdzie nieprzyjaciela nie widno; a sam w karczmie z drugimi pozostał na nocleg. Żołnierze rozsiodłali konie i rzucili się zaraz do spania, bo byli bardzo znużeni. Pan Białkowski poszedł na strych, gdzie znalazł trochę słomy, rzucił się na nią, jak był ubrany i także zasnął. Nic tedy łatwiejszego, jak było na nich napaść i wszystkich co do nogi wygubić, bo ani się pozamykali, ani żadnej straży nie postawili, nic zgoła — tacy byli nieroztropni. Aliści Pan Jezus tą razą dał im innego wartownika, który za nich wszystkich czuwał — był-to pies Dunaj pana Białkowskiego. Poczciwe psisko ani rusz zasnąć nie mogło, tak-ci go coś niepokoiło. Była już północ, księżyc przyświecał jasno a żołnierze w karczmie przy koniach i pan Białkowski na strychu, spali sobie w najlepsze. Jeden tylko Dunaj oka nie zmrużył, a raz wraz czegoś nadsłuchiwał i biegał od kąta do kąta niespokojny. Jednym razem zawył przeraźliwie i jakby wściekły, rzucił się na swojego pana, porwał go za suknie i tak nim targnął, aż się obudził. Jeszcze sam nie wie szlachcic, co to ma znaczyć — a w tem pies przynosi mu strzelbę w pysku i gwałtem poha do ręki, jakoby rzekł: na masz, wstawaj pilno i broń się. Dopieroż zerwał się na równe nogi i wyjrzał dymnikiem ze strychu na pole, co się dzieje. A tu od lasu ciągną Moskale na koniach i była ich wielka kupa. Widać, jakiś podły zdrajca zdał naszych przed nimi, iż się tu znajdują i leżą nieprzygotowani, bo jechali wprost na karczmę. Białkowski duchem pobudził swoich, kazał bramę zamknąć i u każdego okna postawił po kilku żołnierzy z nabitą strzelbą i z pistoletami. Tymczasem Moskale już blisko będąc, pozłazili z koni i dopiero z wielkim

krzykiem rzucili się na karczmę. Myślą, że ją duchem zdobędą — aż tu nasi jak nie dadzą raz i drugi raz ognia, tak zaraz ich coś ze dwadzieścia położyli trupem. Tedy Moskaliska w nogi — co rychlej dopadli koni i zmykaj do lasu! A nasi wtedy: hurra! wysypali się z karczmy a także na koniach, i dalej w pogoń za nimi. Dunaj, dopóki się bili przed karczmą, siedział sobie cicho pod ławą: ale jak tylko ujrzał pana na koniu, wyskoczył za nim. — Oj, bieda Moskalom! tu jedni walą się na nich od karczmy, a tu znowu z lasu wypadają drudzy, co to ich był Białkowski przed nocą wysłał na zwiady, i także hurra na Moskali. Krótko się też bronili; kto nie zdołał uciec, poddał się w niewolę. Nasi, kontenci, wrócili z niewolnikiem do karczmy.

— Ależ gdzież się pies podział? pyta pan Białkowski i woła: Dunaj! Dunaj! ale daremnie — w karczmie go nie było. Wybiegł tedy na pole, szuka wszędzie i znalazł-ci go nareszcie roztratowanego od kopyt końskich. Jeszczeć trochę żył, więc go pan porwał na ręce i przyniósł do karczmy. Biedny psisko! choć takie słabe a jeszcze się rwało do Moskali, co ich nasi wzięli w niewolę. Ale już się nie mógł utrzymać na nogach; osłabiony zwalił się na ziemię, jeszcze raz podniósł głowę, zaiskrzyły mu się oczy, okrutnie zawył i już-ci po nim. Przypada Białkowski, podnosi go.... oho, już przepadło! — I rozbeczał się panisko, jak dziecko, żeć postradał tak wiernego przyjaciela, i już do samej śmierci nie mógł odżałować tej straty.

Byłoż-bo i za czem żałować? nie prawda matki? A więc pomiarkujcie sobie, czy się to godzi psa nazywać podłem stworzeniem?!....

RÓŻNOŚCI.

Śnieg w lecie. Kto to widział, żeby śnieg w lecie padał? to przecie niesłychana rzecz!... A widzisz, że tego lata padał i jeszcze jaki? Na Bukowinie, jak słychać, tyle go się nasypało, że przez całe dwie doby leżał, a ludzie to aże dygotali od zimna. A znowu w *Zakopanem*, co

jest wieś w Tatrach, takie wam niedawno co śnieżyska spadły, że bydło i owce musieli pospędzać do wsi i trzymać po stajniach, jakby wśród zimy. Było tego śniegu na łokieć, i dopiero we trzy dni spłukał go deszcz. Oj latko, nie dobre latko!...

Pszczoły zajadłe. Patrzaj, jakie to małe i niby dobre stworzenie ta pszczoła, a jak się rozje, to niech ręka Boska broni. A właśnie tego roku coś im niedopisało, bo są bardzo złe i napastne. Może ze sześć tygodni temu zdarzył-ci się taki wypadek we *Wzdowie* w obwodzie sanockim: — Nieopodal lasu na pastwisku pasło się pięcioro koni chłopskich. Aż tu w samo południe wypada z lasu jeden rój pszczół i takci biedne koniska pokąsał, że troje z nich do wieczora nie wytrzymało. Co się z resztą stało, nie wiedzieć — ale mała była nadzieja, bo skóra odpadała z nich kawałkami. — To jeden taki wypadek; ale nie koniec na nim! Bo oto pode Lwowem, gdzieś niedaleko *Kulikowa* takoż się zerwały pszczoły na konie, co wiozły gnój na pole. Chłopaczysko, który niemi powoził, coprędzej zeskoczył z wozu, aby je ratować. I wyprzągł jednego, ale już drugiego nie zdołał, bo sam musiał od śmierci uciekać. Konisko, co został przy dyszlu, od razu był zakąsany. I w *Nowemsiele*, także niedaleko Kulikowa, opadły pszczoły dwie klacze folwarczne na błoniu i jedno łoszę. Zbiegli się ludzie ze wsi i od folwarku na ratunek, lecz próżna ich była fatyga; konie zakąsane zostały na miejscu. Lokaj dworski, chociaż z sitkiem na głowie, a mało-co nie przepłacił śmiercią. Dostało się przytem i psu, który tam był; pokąsany od pszczół, mocno ujadał i męczył się przez cały dzień — ale nareszcie wylizał się i zdrów jest.

Rady dla gospodarzy.

Miej dozór, żebyć twój robotnik nie próżnował —
Miej też litość, żeby nad siłę nie pracował.

Dziś napraw, co koniecznie potrzeba naprawić —
Jutro możeć ta praca w dwójnasób zabawić.

Nie umiesz czego zrobić, lepiej szukać rady,
Niż ze szkodą popełniać w twej robocie wady.

Porządne ochędóstwo i w domu i wszędzie,
Dobrego gospodarza pierwszym znakiem będzie.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**